

Krzysztof Materna

OBSERWATORIUM

Wiele demonów



Zacznę od tego, że w sposób bezwstydnym przyznam się do pewnej, do tej pory nieujawnianej przeze mnie publicznie miłości. Kocham prozę Jerzego Pilcha! Nie obnosiłem się z tym uczuciem, ponieważ mógłbym zostać uznany za snoba, zwłaszcza na obrzeżach literackiej warszawki, która decyduje o losach polskich współczesnych pisarzy.

Książki czytam w intymnym zaciszu, lubię wracać do zdań, których nie rozumiem albo których powtórne przeczytanie sprawia szczególną, wręcz orgiastyczną przyjemność. W „Wielu demonach” – książce, która ukazała się na rynku parę lat temu – pełno jest takich zdań pisanych fantastyczną pilchowską frazą, czasem pełną poważnych egzystencjalnych rozważań, czasem z genialną ironią miażdżącą nasze ego, które zamienia się w kupkę prochu. A kupkę prochu może pomylić i Pan Bóg, i grabarz. Wszystko to w klimacie słynnego kurortu na ziemi cieszyńskiej, w którym ważną rolę odgrywa już nie Ojciec Święty na nartach, ale pastor ze swoją bardzo różnorodną osobowościowo rodziną.

Trzeba dużej odwagi, żeby pomyśleć o tej prozie jako o dramacie teatralnym. Na szczęście wykazał się nią mistrz Mikołaj Grabowski, popisując się i genialną adaptacją, i mistrzowską batutą reżyserską, która dała fantastyczny efekt w postaci przedstawienia „Wiele demonów”. Spektakl powstał w koprodukcji warszawskiego Teatru IMKA i łódzkiego Teatru Nowego. Ta współpraca okazała się czymś bardzo pozytywnym i dla publiczności łódzkiej, i warszawskiej. Oczywiście nie jest tak, że wysłuchanie na deskach teatru prozy Pilcha wszystkim widzom ułatwia jej percepcję. Najlepiej oddaje to wypowiedź jednego z widzów, który określił spektakl taką oto refleksją, cytuję: „Nic nie zrozumiałem, ale jestem pod ogromnym wrażeniem zwłaszcza pani Iwony Bielskiej”.

„Wiele demonów” Pilcha i Grabowskiego nie obejmuje tych, które opętały sędziego Morawskiego. Targały nim w Oksfordzie i targają do dzisiaj. Zajmę się tym następnym razem po konsultacji z lekarzami. **N**